

Walizka

Mężczyzna stanął w drzwiach rodzinnego domu. Wszystko wyglądało, tak jak zapamiętał. Popękana, drewniana powłoka z plamą po wielokrotnie rozmazywanej, a potem zapisywanej na nowo białej kredzie. Równie zniszczona futryna. Kafelki, latem ratujące swoim zimnem, zimą szokujące ofensywnym chłodem. Rajmund ściągnął buty i chciał je ustawić tam gdzie zawsze, na starej półce, którą zmontowali z ojcem w pewne dziwnie orzeźwiające, letnie popołudnie. Śpiew ptaków i blask słońca ozdabiający rośliny, które jako jedyne nie schowały się w cieniu starego orzecha, znów otoczyły go przyjemnym ciepłem.

Już w przedpokoju doszedł go radośnie wirujący dźwięk audycji radiowej. Ta sama stacja co przed wielu laty. Tym razem jednak coś było nie tak. Głos, wydobywający się z magicznego pudełka, brzmiał obco. Wtedy dopiero Rajmund przypomniał sobie o pewnym artykule. W czasie jednej ze swoich wypraw w góry zatrzymał się przy źródle. Odpoczywała tam również grupka młodych mężczyzn. Popijali wodę i rozmawiali. Dzień był niezwykle upalny, a bezlitosne słońce właśnie triumfalnie unosiło się w zenicie. Rajmund zapewne nawet nie zwróciłby na nich uwagi, pogrążony we własnych rozmyślaniach, gdyby jeden nie trącił go przypadkowo gazetą, którą odkładał na bok. Przywrócony do rzeczywistości, wzdrygnął się i odwrócił w stronę młodziaków. Ci jednak, skupieni we własnym gronie, zdawali się nie zauważać obecności wędrowca. Podczas tego kilkusekundowego poruszenia, Rajmund zdążył łypnąć na gazetę leżącą obok jego uda. Wielki napis „Antoni Mejer nie żyje” przykuł jego uwagę na krótką chwilę. Nie mógł sobie przypomnieć skąd zna siwego człowieka z fotografii. Porzucił tę zgoła błahą informację w czeluści swego umysłu.

Teraz jednak doznał oświecenia. Wygląda na to, że głos, który był narratorem całego jego życia, zamilkł na wieki. Szafy, ściany, zasłony, które przez wszystkie lata przesiąknęły dźwiękami i zapachami, z oddaniem utrzymywały w sobie te niskie tony. Wyraźną dykcję, energiczność oraz poprawne stylistycznie zdania zamknięto w szufladach z zamkami, do których klucze może nawet nigdy nie powstały. Gdyby dom mógł mówić, z pewnością odezwałby się głosem Antoniego Mejera.

Mężczyzna spojrzał na zegarek. Delikatny, ciepły uśmiech powrócił na jego pomarszczoną twarz, kiedy na tarczy zegarka dostrzegł 11:59. Zapadła cisza, w której czując światło słoneczne na swoich plecach, powrócił myślami do jednej z wielu przyjemnych niedziel, gdy w południe matka wystawiała na stół świeżo upieczone rogaliki z dżemem, ciastka, lemoniadę dla dzieci oraz kawę dla dorosłych. Jedynie ciocia Leonia sączyła herbatę, co jakiś czas zamaczając w niej ulubione magdalenki. Świeże powietrze i odgłosy natury wpadały do środka niczym dobra nowina. Wiecznie spóźnieni Państwo Rubenowie

pospiesznie kłaniali się zza płotu, pędząc na mszę. Ojciec zawsze wstawał z fotela i również się kłaniał, a gdy cała rodzina zniknęła za rogiem, śmiał się w głos, pokazując na swoim starym zegarku, że właśnie wybiła pełna godzina. Rajmund pochylał się i patrzył na piękną, zadbaną tarczę. Złote zdobienia błyszcząły, ośmielone pochlebstwami jaśniejącego słońca. Wszystkie trzy wskazówki przemieszczały się. Chłopiec brał głęboki wdech, a zapach kwitnących róż, bzów i traw mieszał się z równie przyjemnym aromatem łąkoci. Do uszu dochodził ten głos, który przez dziecięcą niewiedzę zdawał się anonimowy, aż w końcu, może ze współczucia, przygarnął go Rajmund jako swój.

- Panie i panowie, wybiła dwunasta.

Rozbrzmiał krótki sygnał.

Staruszkowi zrzędała mina. Kolana i dolna warga poczęły się trząść, wkrótce wprawiając w drganie całe ciało. Mężczyznę targnęła szloch. To nie był ten dźwięk. Zmienili go, zmienili sygnał. Wyrzucili stary i wstawili nowy. Lepszy, nowocześniejszy. Dżingiel. Bardziej smaczny dla osób z przyszłego pokolenia.

Wszystko jakby ogłuchło. A może to on stracił słuch? Chłodny wiatr zadał w brudne zasłony. Zabite deskami okno okazało się nieszczelne. To przez nie wpadał zimny podmuch. Rajmund rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem. Niewiele mógł zobaczyć, gdyż drewniane dechy, jakby to było ich główne zadanie, nie przepuszczały do środka budynku zbyt wielu promieni słonecznych. Tylko ten jeden, osamotniony, który ogrzał go w czasie słodkiego wspomnienia. Mężczyzna wpadł w szal. Z furią przepełniającą jego żyły zrywał wszelkie zabezpieczenia. Ciemność gryzła go, paliła niczym brak tlenu w naprężonych płucach. Czuł się jak w grobie. Teraz jednak nic już nie zasłaniało starych okien. Zniknął promyczek. Do środka wpadało ponure światło zachmurzonego nieba. Rozpadający się płot ostatkami sił przytulał zarośnięty ogród, który w swej dzikości i zapomnieniu począł wyrwać się z terenu posesji. Poszukując miłości, piękna, zdrowia i dobrobytu, które utracił wraz ze strażniczką swojej wspaniałości, wpełzał na chodnik długimi pędami chwastów i krzewów. Niczym zza krat, wydrapywał zielonymi pazurami drogę do wolności, prac na ostatnie, trwające w nadziei i obowiązku drewniane deseczki. Nieszczęśliwy, zrozpaczony, błagający o pomoc i ratunek. Rajmund stał na środku salonu, milcząc. Radio wyłączył, albo samo się wyłączyło. Ta kwestia była względnie nieistotna. Choć w zasadzie przeciwnie. Jeżeli sam nacisnął przycisk, a tego nie pamięta, to znaczy, iż głowa szwankuje i należałoby udać się do lekarza. Gorszy jednak

wydał się Rajmundowi drugi scenariusz. Jeśli był prawdziwy, to radio również odeszło we mgle niedziałających, zapomnianych rzeczy. Mężczyzna chrząknął, zupełnie jakby prowadził z kimś niekomfortową rozmowę, po czym odwrócił się i wszedł po schodach. Drewno, wychodzone, śliskie, skrzypiało pod jego ciężarem. Nie chciał zapuszczać się do sypialni rodziców. I tak nigdy tam nie bywał. Co innego pokój dziecięcy, jego własna forteca.

Rajmund przejechał palcami po bogato zdobionych drzwiach. Były piękne. Widniała na nich scena z jakiejś książki, której nigdy nie udało mu się odszukać. Dziewczynka w towarzystwie zwierząt siedziała pod kwitnącą magnolią. Obok niej stał koszyk piknikowy, a całe towarzystwo oblegało letni koc. Rajmunda niezmiernie fascynowała dokładność z jaką wykonano płaskorzeźbę. Nie czekając, wbiegł do pokoju dziko, tak jak to miał w zwyczaju. Ledwo wskoczył na pościelone łóżko, unikając pochłonięcia przez żądne ofiar pnącza dywanu, a już doszedł go z dołu głos matki.

– Munde, myj się do kolacji, ale już! - brzęk ustawianych naczyń i sztuców zagłuszał jej słowa. Chłopiec posłusznie zwlekł się z łóżka i otworzył szafę. Wyciągnął z niej czyste ubrania i zaniósł do łazienki. Zapomniał jednak o ręczniku. Kolorowy materiał pozostał na zgniecionej narzucie. Chłopiec wrócił i zatrzymał się przed niedomkniętą szafą. Przez wąską szparę zobaczył wspaniały surdut ojca. Czarny, idealnie wyprasowany, z drogimi, ciężkimi guzikami. Kiedy Rajmund bawił się na dworze, ojciec potajemnie wsmykiwał się do jego pokoju i sprawdzał, czy ten elegancki strój wciąż na niego pasuje. Za każdym razem wychodził z uśmiechem. Nawet, gdy nie był już w stanie dopiąć ani guziczka. Rajmund nie dosięgał jeszcze do wieszaka, więc za schody służyły mu mocne, drewniane półki. Z wielką czułością, ostrożnie wyciągał surdut. Następnie stawał przed lustrem i przymierzał. Cały szlachetny ubiór wisiał na nim jak na małym strachu na wróble. Zawsze wtedy, błyszczącymi oczami przyglądając się swemu odbiciu, obiecywał sobie, że jak dorośnie, będzie silny i duży, a surdut, który z dumą przekaże mu ojciec, idealnie podkreśli wspaniałą formę.

Po kościstym policzku Rajmunda przetoczyła się ła. Potem kolejna i następna. Surdut, chociaż pasował na długość, wciąż był za szeroki. Chudy mężczyzna nie miał ani mięśni, ani tłuszczu, które drogocenny materiał mógłby otulić. W niezadowoleniu i rosnącej panice przetaił lustro. Zamarł, dostrzegając swoje odbicie. Jego wzrok ślizgał się po własnym, a jednak tak obcym i niepoznanym ciele. Oglądał zmęczonego, pokrzywionego człowieka, który stał sam w ciemnym pokoju i płakał. Zniknął chłopiec. I znów zapadła cisza. Wszystko zniknęło. I on też zaczął znikać. Właściwie cały proces rozpływania aktywnie postępował już od wielu lat. Odrażający uśmiech kostuchy nietrudno było dostrzec w pomarszczonej,

wiszącej na niemalże gołych kościach skórze. Rajmund przybył do domu w poszukiwaniu nieśmiertelności, święcie przekonany, że zostawił ją tu na przechowanie. Gdy dawno temu ruszył w podróż, tak dawno, że sam już nie pamiętał kiedy, pożegnał się z przyszczatym młodzieńcem obserwującym go z lustra. Może i nie pałał miłością do przydługich, nieokrzesanych włosów, chropowatej twarzy oraz pierwszego wąsa. Na pewno jednak pomiędzy ostatnimi poprawkami koszuli rzucił chłodne „Do zobaczenia”. Tak, tak właśnie. Nie „żegnaj”, nie „obyśmy się już nigdy więcej nie spotkali”. „Do zobaczenia”. Tak. Gdzie więc podział się ów szczeniak? Siedzi w łazience, poszedł na spacer? Dlaczego zaniedbał ogród? Dom okurzony stoi i ledwo dycha, czy to hańba dla młodego kurze pościerać, umyć podłogi? I gdzież walizka, w której to wieczność na dziesięć spustów zamknęli? Pytania krążyły po pokoju niczym ożywione modele samolotów i lokomotywa. Furkot silników zagłuszał zdrowy rozsądek, para buchająca z komina tak zamgliła pracujący umysł, że tylko kształty najważniejszych wizji majaczyły gdzieś w oddali. Rajmund silnie, choć słabnąc z każdą chwilą, opierał się myśli dziwnej, myśli strasznej. Tej, która w chłodnym wietrze wpadała do środka i liźnięciem brutalnego jęzora pozostawiała mu w głowie śluz ohydny, śluz kleisty. Nie ma młokosa. Zniknął. Ukradł walizkę.

Przy całym zamęcie umysłu w głowie zajaśniało mu wspomnienie. Pewnego lata miał pojechać pociągiem na obóz z grupą swoich kolegów. Jeden umyślnie przekazał mu złe godziny odjazdu. Kiedy zdyszany, dźwigając niemalże większy od niego bagaż, wbiegł na peron, pociąg właśnie odjeżdżał ze stacji. Oddychając ciężko, patrzył jak jego „przyjaciele” śmiali się i wytykali go palcami. Z każdą chwilą coraz mniejsi, aż w końcu zupełnie zniknęli za horyzontem. Tak, to to. Znów ten sam strach, ten żal wszechobecny. Gorycz w zapachu powietrza i na suchych ustach. Jakby po raz kolejny o nim zapomniano. Jakby wszystko na tym świecie odjechało, zostawiając go samego. Tamtego dnia prawie do zmroku siedział na walizce i czekał, aż ktoś przyjedzie go odebrać. Zielona koszulka nasiąkła łzami. Zapanowała ciemność. Dom, pozbawiony wszystkiego co czyniło go wartościowym, równie dobrze mógłby być tym starym, cuchnącym moczem peronem. Nie było ludzi. Nic nie było. Również i czasu zabrakło. W mokrym surducie ojca, z oczami otwartymi, z których wciąż samowolnie wpływały przeźrocyste krople, położył się starzec na dziecięcym łóżku. Kurz przyjął go i otoczył jak swojego.

Dopiero zatapiając się w materac, w sobie i słodko gorzką świadomość, na twarz naznaczoną wiekiem wypłynął szczery uśmiech. Jak dobrze, że jednak jej tu nie było. Wybaczyl złodziejaszce. Czym jest życie w świecie, który skąpi Ci siebie i przegania z przedziału. Towarzysze podróży wysiadają na swoich stacjach. Bagaże też ktoś wyrzuca za okno, nawet nie wiadomo kiedy. W końcu człowiek sam staje na korytarzu przy otwartym

oknie. Przez chwilę rad jest czuć tę świeżą bryzę na twarzy. Potem zdaje sobie sprawę, że oprócz niej nic już nie ma. Sam wyskakuje, albo świat go wypycha na następnej stacji. Wszedł więc i Rajmund. Nie miał innej opcji. Bilet został w walizce, a walizka przepadła. Jechać na gapę w jego wieku, to już nie przystoi.